

Włodzimierz

Odojewski

Zasypie wszystko,
zawieje...



Świat Książki

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [e-booksweb.pl - audiobooki, e-booki](#).

Tekst na podstawie
W. Odojewski; *Zasypie wszystko, zawieje...*;
Twój Styl, Warszawa 2001

Projekt graficzny serii
Małgorzata Karkowska

Zdjęcie na obwolucie
Małgorzata Karkowska

Redaktor serii
Barbara Miecznicka

Redakcja techniczna
Małgorzata Juźwik

Korekta
Grażyna Henel
Tadeusz Mabrburg

Copyright © by Włodzimierz Odojewski 2001
Copyright © by Bertelsmann Media sp. z o.o., Warszawa 2006

Świat Książki
Warszawa 2006
Bertelsmann Media sp. z o.o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie
Andrzej Sobkowski, MAGRAF S.C., Bydgoszcz

Przygotowanie
Fabryka Wyobraźni
ul. Bukowińska 22 lok. 12b, 02-703 Warszawa

ISBN 978-83-247-2050-7
Nr 45025

Spis treści

Tom I

- Rozdział I
- Rozdział II
- Rozdział III
- Rozdział IV
- Rozdział V
- Rozdział VI
- Rozdział VII
- Rozdział VIII

Tom II

- Rozdział I
- Rozdział II
- Rozdział III
- Rozdział IV
- Rozdział V
- Rozdział VI

Tom III

- Rozdział I
- Rozdział II
- Rozdział III
- Rozdział IV
- Rozdział V
- Rozdział VI
- Rozdział VII

TOM PIERWSZY

I

Wrócił do sypialni i, nie podchodząc do łóżka Katarzyny, chciał usiąść na krześle, ale nie siadł, a pozbierał rozrzucone na podłodze części swej garderoby, cofnął się był do sąsiedniego pokoju i nakładając na siebie to wszystko wciąż jak gdyby nie własnymi, zbyt zwolnionymi ruchami, dopiero tam powiedział prawie głośno: „On uciekł dla niej” (tę myśl, którą sformułowaną miał już w głowie, kiedy odkładał słuchawkę telefonu albo nawet pięć minut wcześniej, kiedy posłyszał w niej odległy, pochłaniany szumem i trzaskami linii głos starego Czerestwińskiego, mówiącego, co stało się z jego wnukiem Piotrem, że przepadł, że uciekł), i potem, nie czekając jakiegokolwiek potwierdzenia – bo powiedział to do siebie, Katarzyna przecież spała – ledwo widząc w ciemności jej białe ramiona na pościeli i twarz do połowy przesłoniętą pasmami włosów, patrzył na nią przez otwarte drzwi dobrą chwilę w milczeniu, przekroczywszy dawno tę granicę wyczerpania, poza którą ustaje wszelka zdolność odczuwania krzywdy, bólu i zniewagi; i z prymitywnym, obojętnym zaciekawieniem zastanawiał się nad tym jedynie, co jeszcze będą musiały wytrzymać (zanim kuzyna, Piotra Czerestwińskiego, dostanie w swe ręce) jego znieczulone teraz nerwy i co kuzynowi powie, czy właśnie to, iż wie, że uciekł on dla niej; nie domyślając się wcale,

że po upływie dwudziestu, dwudziestu czterech czy iluś tam godzin, podnosząc kuzyna, niby padlinę, ze zmiętej otawy w opustoszałej szopie na pasieczyskach za Ser-tem i bijąc go w twarz, nie powie mu nic lub prawie nic, myśl tę raz jeszcze tylko powtórzy; bo nie mógł się teraz domyślić, że owych dwa dziesięcia, dwa dziesięcia cztery czy ileś tam godzin przyszłych będzie w rzeczywistości o wiele krótsze niż dwa dziesięcia czy dwa dziesięcia cztery dopiero co minione, które zaczęły się rano, kiedy spośród zostawionych przez listonosza w przedsiönku listów wahającym się ruchem wyciągnął ten jeden z nadrukiem „Czerwony Krzyż” na kopercie, adresowany do Katarzyny, i postanowił go jej zawieźć; co sobie powtórnie był przypomniał teraz, już ubrany, wychodząc z pokoju sąsiadującego z jej sypialnią, zamykając jak najciszej drzwi, a później siadając w ciemnej sieni przy stole, ażeby zebrać myśli i coś postanowić.

Był tak opanowany, gdy po omacku związał bibułkę między palcami i nakładał tytoń, nie rozsypując na podłogę ani źdźbła, gdyż palce nie drgnęły, że owo przypomnienie – jakby przebyta w trudzie, ale wreszcie wolna od niespodzianek strefa, dość odległa, płynna, żeby nie rozdrażniała, a jednak nie na tyle odległa, żeby zacierały się szczegóły – dotarło do niego niby przefiltrowane przez tafłę szkła, nieźle jeszcze widoczne, choć prawie niesłyszalne, tak że mimo stanu, w jakim się znajdował, bo spał dwie, trzy godziny, nie więcej, było (owo przypomnienie) dość łatwe i proste, zwłaszcza że pamiętał najdokładniej, iż wczoraj z rana, kiedy ten urzędowy list do Katarzyny spośród innych leżących na tacy wyciągnął, nie pomyślał ani o ucieczce z Czupryni swego kuzyna Piotra, gdyż nie mógł, myśl byłaby przedwczesna, ani że: „Jednak... coś ich łączy”, bo może i na to było za wcześnie (zresztą nadruk Czerwonego Krzyża na kopercie wyzwolił w nim wówczas zadawnione, tłamszone siłą przypuszczenie niemające z tymi dwojgiem związku,

przypuszczenie dotyczące jego samego, które wyrzucił z siebie, jak wydmuchuje się z płuc papierosowy dym), a jedynie pomyślał wtedy, że trzeba jej list dostarczyć, ale i tej myśli pozbył się zaraz, gdy tylko wsunął go do kieszeni, jego umysł bowiem zaprzętało już tylko to, czego dowiedział się przed śniadaniem od zbiegłych ze Stoczka chłopów, że zagrody spalili im nocą banderowcy z watahy Gawryluka i że naszli także Hajną i Suche, a potem przyszło mu do głowy, że kto jak kto, ale Piotr Czerestwienski powinien dowiedzieć się o poczynaniach Gawryluka, watażka był przecież bękartem Czerestwienskich i, choć kuzyn nie mógł ponosić odpowiedzialności za kawalerskie grzechy swego ojca, to jednak trzeba, żeby znał prawdę, on, Paweł Woynowicz, mu to powie, gdyż mimo iż tamto posądzenie, że Katarzynę coś z Piotrem łączy, od siebie odsunął, zapiekła od tygodni zazdrość popchnęła go do wyjścia z domu i kazała jechać, aby kuzynowi w oczy Gawryluka wypomnieć, by nim go poniżyć.

I potem był, pamiętał, w drodze. Prędzej, o wiele prędzej, niżby wcześniej przypuszczał, tym bardziej że chodziło jedynie o doręczenie listu, gnał konie do Czupryni Czerestwienskich, wpierw tą rozmieloną przez suszę i wozy drogą między żywopłotami zakwitającego derenia, bo chciał jeszcze we wsi sam się temu przyjrzeć, o czym mówili chłopci, a co rzucić miał zamiar w twarz kuzynowi, i zobaczył: fury ustawione na poboczu, zawalone przypadkowym, zgarniętym pośpiesznie w ucieczce czy wydobytym z popiołów dobytkiem, i fury, na których nie było nic prócz przykrytych byle czym trupów, i że niektóre sterczące spomiędzy słomy nogi miały nadpalone stopy, a nawet poczuł przez krótki moment, bo gnał, na ile pozwalał na to zbyt lekki koczobryk, tę mdlącą słodkawość i się zdziwił, dlaczego nie zabrano się do grzebania od razu, ale zaraz sobie odpowiedział, że widać niewielu zdatnych do łopaty ocalało, chłopci zaś z Gleb wyszli pewnie wszyscy z rana w pole, „Jest właśnie poniedziałek”, przypomniał sobie; już jednak koczobryk

miał się na wyboistej drodze między polami i nie zobaczył nikogo, aż dech zapierało, taka pustka, a przecież słońce stało dość wysoko, powinien zobaczyć, jak pracowali od paru już godzin, wszystkich przygiętych ku ziemi, ale nawet nie zastanawiał się nad tym dziwołaniem natury (jeżeli bowiem był poniedziałek i pora, mierząc od wschodu słońca, tak późna, brak tych jak zwierzęta z ziemią zrosniętych ludzi musiał być dziwołaniem nie lada), gdyż gnając na złamanie karku konie, znajdował się już daleko od domu i podjeżdżał do niezamieszkałej teraz, przypisanej przez Kreislandwirta do Gleb słobódki, gdzie nadzarte ogniem albo jedynie mrozem, deszczem, upałem i czasem chałupy straszyły pustymi oczodołami okien, do słobódki otoczonej spękaną, występowała ziemią, przez którą ciągnące się mocniejsze pasma zieleni znaczyły linie dawnego podziału gruntów należących do chłopów wywiezionych przez Sowieców w głąb Wschodu w czterdziestym roku, owe linie, owe miedze, pomiędzy którymi leżała cierpliwa gleba czekająca na koniec wojny, powrót ludzi i nowy ich trud; a potem był wreszcie naprawdę step, to znaczy to, co on, Paweł Woynowicz – którego zrodziła ta ziemia, jak zrodziła jego dziadów i pradziadów, jak daleko tylko sięgnąć w pomrokę jej dziejów, bo zawsze byli na tej ziemi, znikąd nie przyszli – zwał stepem, jak wszyscy tutejsi, choć gdzie indziej zwą połoniną, pastwiskiem, dziką ląką, ugorem, wertepem, obojętnie zresztą jak, o to samo przecież chodzi: burzan, ostnica, miódunka, byliny, piołuny, mięty, rumian gdzieś tam, gdzieś tam, gdzieś tam osty i soczyste trawy, sypiące nasiennym puchem i pyłem w swym ustawicznym falowaniu, a tylko z rzadka tu i ówdzie wśród pustkowiecia futor osamotniony i dlatego solidny, prawie że obronny, skąd powinien być z komina bić o tej porze w niebo tęgi dym wskazujący, że gospodyni warzy wcześniejszy posiłek dla rodziny zajętej na roli (bo był przecież poniedziałek); ale nawet dymów, tych tak nikłych, lecz jakże dodających otuchy oznak życia, nie ujrzał ani nie

ujrzał suszącej się bielizny na sznurach rozciągniętych między płotami, ani dzieciarni kłusującej po obejściach, ani koni drepczących monotennie za stodołami w kieratach, tych koni poganianych zbyt długim biczyskiem przez ospałych wyrostków, ani zrosniętych ze sobą, nieporuszonych, jeśli patrzeć z pędzącego pojazdu, powszednich symboli tego kraju: podpartych kijem, zapatrzonych w bezkres pastuszków z psem u nogi, obok smutnie przeżywających stad brunatnoczerwonych, jak ta ziemia, krów, choć gnał te swoje konie bezlitośnie, nie dając im przejść na jedną chwilę w stępa nawet wtedy, gdy z głównego gościńca prowadzącego dalej ku Nikoryczy zboczył na bezdroże, a potem ciągnął jakiś czas na podkrojonej dróżką pasterską krawędzi współzalesionego parowu, chcąc skrótem objechać Mohylną Dolinę oraz wieś Tuczapsk w jej pobliżu, i dlatego dużo wcześniej, niż gdyby jechał tamtędy, gdzie zwykle jeździł, udając się do Czupryni, dotarł do pasma Motrenieńskiego Boru i przejechał przezeń w tym samym szalonym tempie, choć wcale nie musiał, chodziło przecież li tylko o list do Katarzyny tkwiący w jego kieszeni, o którym dawno już nie pamiętał; i dopiero kiedy z boru się wydostał, wypadł nagle (tak nagle, że aż trudno mu przyszło zrazu w to uwierzyć i że nawet w zdumieniu powściągnął wreszcie nieco te swoje biedne, zabiegane do ostateczności konie), ujrzał gdzieś dość daleko jeszcze, w pobliżu Czupryni, dwa woły sprzęgnięte w jarzmie, ciągnące wzdłuż pola pług, za pługiem zaś podorywującego nim ugór, kroczącego miarowo człowieka, pierwszego, jeśli go pamięć nie myliła (ani teraz, ani wtedy), człowieka od wyjazdu z Gleb.

Suchy ciepły wiatr wionął z tyłu od lasu, spomad jego wierzchołków, i uderzył go w plecy. Już był w Czupryni. Zostawił na boku wieś, bo jechał w dalszym ciągu skrótem, ale dostatecznie blisko, żeby zobaczyć, że tutaj roboczy dzień toczy się normalnie. Widział ludzi, zwierzęta, dymy z kominów, obracanie się kieratów, kiwnięcie się w dół jakiegoś

żurawia zanurzającego w otchłani studziennej cebrzyk i już po chwili paru wyrostków sterczących na kamieniach przy moście, każdego z wędką między kolanami. Potem przeto-
czył się przez most na potoku, z ostrym trzaskaniem pod-
ków konie wwozły go na dziedziniec i jakiś chłopiec sta-
jenny (dostrzegł go kątem oka, rzucając lejce) podbiegł
odprowadzić pojazd, a on, Paweł, patrzył przez chwilę bez-
myślnie, chwiał się, czując od długiej jazdy, od tego przedzie-
rania się przez przestrzeń, kurcze w nogach, i próbując ro-
zetrzeć łydki, potknął się, ciągle jeszcze nie mogąc pojąć,
po co tak się śpieszył, bo wprawdzie list tkwiący w kiesze-
ni przypomniał sobie wreszcie, natychmiast go jednak po-
minął, niejako powtórnie wyrzucił z pamięci, aż w końcu
znowu nawiedziła go myśl, że przyczyną pośpiechu jest ku-
zyn Czerestwienski. Ale to już później.

Idąc przez dziedziniec, słyszał własne obcasy uderzające
zbyt silnie w kamienną kostkę i był skupiony i czujny, i na-
gle w szczelinie, jaka tworzyła się między drzewami na skra-
ju parku, gdzie staczał się on w dół prawie do potoku, zo-
baczył nieruchome sylwetki Teodora Czerestwienskiego,
stryja Piotra, i opiekunki Piotra siostry, panny Spang, Niem-
ki zadomowionej tutaj od przedwojennych jeszcze lat (oby-
dwoje zajętych łowieniem ryb), wyżej zaś, tam właśnie, gdzie
ta szczelina między drzewami otwierała widok na ową pa-
rę wędkarzy, stojącą bez ruchu swą bratową Katarzynę. (Do-
piero teraz przyszło mu do głowy, że może ten jej bezruch
wtedy był tylko jego chwilowym złudzeniem. Prawdopo-
dobnie w tym miejscu przechadzała się po ścieżce i przysta-
nęła, kiedy go spostrzegła. Zrobiła poza tym ruch ręką, jak-
by witający albo przywołujący, będący być może dalszym
ciągłem jakiegoś poprzedniego ruchu.) I to była ta chwila,
kiedy pomyślał: „Może śpieszyłem się tylko z powodu Pio-
tra”. Nie zwolnił jednak kroku, a szedł dalej, nie oglądając
się więcej. I minął główną bramę. I okrążył przed pałacem
gazon z wodotryskiem w środku, i już wstępował po ka-

miennych schodach, już był w drzwiach, bo przypomniał sobie znowu, co miał kuzynowi do powiedzenia o masakrze w Stoczku, i znalazł się był w tym obszernym hallu, w którym przed wojną pod ścianami stały kalekie rzeźby zwieziane z przeróżnych wykopalisk archeologicznych przez Teodora Czerestwińskiego, teraz zbyt pustym, przez to bardziej niż dawniej smutnym, i już ów list dla Katarzyny trzymał w ręku, jak gdyby z kieszeni go wyjął dużo wcześniej, być może wtedy, kiedy bratową zobaczył na skraju parku. Tylko że nawet nie musiał zostawiać listu na stole czy dawać komuś ze służby. Z piętra schodził właśnie, nie podpierając się laską, rześkim krokiem senior Czerestwiński, Mikołaj Fiodorowicz, który ze wstrzemięźliwym acz przyjaznym uśmiechem odpowiedział na jego, Pawła Woynowicza, krótkie „dzień dobry”: „Dzień dobry, mój chłopcze. Cieszę się, że cię znowu u nas widzę”, i Paweł nie powiedział na to, że cieszy się również czy że jest mu miło lub cokolwiek podobnego, ale ten trzymany list, jakby chciał się go czym prędzej pozbyć, wcisnął starcowi w dłoń przymocą, mówiąc: „To dla Katarzyny”, i jednym tchem: „A Piotr? Gdzie Piotr?”, na co z twarzy Mikołaja Fiodorowicza nie spełził wprawdzie cały uśmiech, jej rysy jedynie poczęły pokrywać się zwyczajną, codzienną maską nieprzystępności, odpowiedź zaś, że: „Piotr śpi jeszcze. Nie zszedł wcale na śniadanie”, była chłodna, to jednak oczy spoglądające na list, na czarny nadruk Czerwonego Krzyża na kopercie, nie potrafiły ukryć osłupienia. Ale już szedł, biegł po schodach na piętro i, stanąwszy przed znajomymi sobie drzwiami, zapukał, naciskając równocześnie klamkę, gdyż był absolutnie pewny, że tylko po to, po nic więcej, tylko po to przyjechał, żeby kuzynowi powiedzieć, co zrobił tej nocy Semen Gawryluk w Stoczku, Hajnie i Suchym.

Potem stał nad Piotrem, trzęsąc jego ramieniem. Kuzyn spał twardo i nawet kiedy zaczął trzeźwieć i wreszcie siadł na łóżku, nie otwierając oczu, to jeszcze instynktownie bronił się

przed zupełnym rozbudzeniem. I wtedy Paweł mu to powiedział. A potem było przedłużające się milczenie (jeszcze teraz dokładnie je pamiętał) i nic się nie stało, i dopiero po jakimś czasie, kiedy Piotr odburknął zaczepnie: „No to co?“, a on podjął ten sam wątek i mówił, mówił długo, pojał, że kuzyn – z trudem powstrzymujący powieki, żeby na powrót nie opadły, choć była godzina dziesiąta albo dalej – zaraz się roześmieje, i aby temu zapobiec, krzyknął: „To przecież Gawryluk, rozumiesz? Gawryluk i jego Ukraińcy urządzili tę masakrę“, i posłyszał słowo: „Drań!“, i od razu pojał również, że ów dziwny grymas na twarzy kuzyna to żaden śmiech, na pewno zaś nie sam śmiech, ale coś znacznie więcej niż śmianie się tylko, bo słowo, które przed chwilą kuzyn powiedział w owym skrzywieniu, grymasie czy skurczu mięśni twarzy, z którymi – jak widać – nie może sobie poradzić, jakkolwiek trze policzki dłońmi i wykonuje ustami ruchy, jakby chciał coś mówić bez słów albo jakby oddychał; że owo słowo, pojał, miało więcej znaczeń, czuło się je dotkliwiej, niż gdyby określało wyłącznie to, co zrobił Gawryluk, bo wydobyło się ono z ust Piotra z trudem, jak z dna głębokiej studni. Lecz wreszcie to wszystko minęło i wtedy Piotr powiedział, wykrztusił: „Wiem, że to mój brat, wiem...“ A potem już szybko i coraz szybciej: „Wiem teraz wszystko. Choć tyle lat to przede mną tajono. Jeszcze przed pierwszą wojną, kiedy dziadek dowodził garnizonom w Mohylewie czy może w Czehryniu, mój ojciec miał go z jakąś tamtejszą Ukrainką. Dziadekłożył na jego wychowanie i szkoły. Wiem wszystko, nie musisz mi świecić nim w oczy. Sprawa między nim a moją rodziną nie ma nic wspólnego z tym, co on teraz tutaj robi. Z jego krwawą robotą. To sprawa między Polakami a Ukraińcami. Ale jeśli myślisz... Jeśli mnie winisz...“, i po chwili zamilknięcia: „Czy po to tylko przyjechałeś?“, a on, Paweł, na to: „Mówisz, jakbyś sam nie był Polakiem“, bo zrazu nic lepszego nie umiał powiedzieć, a Piotr: „To zupełnie inna sprawa. Więc

co? Przyjechałeś po to, żeby mi powiedzieć, że to mój brat?”, a że milczał, Piotr zapytał jeszcze raz. Jednakże wtedy już wiedział.

Cały czas czuł na sobie uporczywy, obserwujący, pełen domysłów wzrok Piotra, wzrok, w którym nic nawet nie drgnęło, w którym nie widać było żadnej popędlivosti ani zaskoczenia, ani zdumienia czy zawodu, w ogóle nic. Więc wtedy on, Paweł (zanim jeszcze spróbował wyjaśnić, że przywiózł list do bratowej), zrozumiał, że naprawdę przywiodła go do Czupryni Katarzyna i jego własna o nią zazdrość, gdy tymczasem przedtem wciąż myślał coś innego i mówił coś innego. Zrozumiał, że chodziło mu o nią, o tę bliską, równocześnie daleką i niezawisłą kobietę, która była żoną brata. I dlatego prędko powiedział słabo: „Nie chciałem cię urazić”, a kuzyn, jakby mu przerwał ledwo napoczęty wątek myśli, zmarszczył się, spojrzał przytomniej i odrzekł: „Sam sobie z Gawrylukiem poradzę. Lepiej niż ci wasi polscy partyzanci, którzy nie potrafią załatwić jednego niemieckiego lokaja. Ze mną on na pewno zechce gadać”, a on na to zaskoczony, sądząc, że się przesłyszał: „Co ty chcesz zrobić, Piotrze?”, a kuzyn krótko, twardo: „Pójdę do niego na wabia”. I wtedy, czując, że nim też coś takiego jak tamtym zaczyna wstrząsać, ale żeby to powstrzymać, bo mogło być śmiechem, lecz także czymś więcej, w każdym razie byłoby fatalnie, gdyby się uzewnętrzniło, powiedział, krzyknął prawie: „Jesteś szczeniak! Myślałem, że rozmawiam z dojrzałym mężczyzną, ty zaś jesteś szczeniak jeszcze. Trzeba by przestrzec Mikołaja Fiodorowicza, ażeby cię pilnował przed nabiciem sobie guza”, zresztą krzycząc wcale nie dlatego, że był zdumiony, osłupiały czy nawet (przyznawał się teraz skrycie) zawiedziony, nie zdolawszy Piotra upokorzyć, ale dlatego, że rozumiał, iż to, co właśnie powiedział, a w co przedtem mimo wszystko wierzył święcie, nie jest prawdziwe: jego kuzyn przestał być chłopakiem, choć był nim przed paroma dniami czy tygodniami zaledwie, a on, Paweł,

dobrze zrobił, że przyjechał, bo najwyższy czas, żeby Katarzynę stąd zabrać, aby nie zapomniiała, że mimo iż Aleksego nie ma już od trzech z górą lat, ona ciągle jeszcze jest jego żoną. Tylko że nie zdołał owej myśli dokończyć, Piotr bowiem powiedział doń: „Wyjdz. Proszę cię, wyjdz”, stając, patrząc obraźliwie i zaciskając pięść; powtarzał być może tylko to, co powiedział dużo wcześniej, a czego on, Paweł, nie dosłyszał, zajęty tak bardzo swoim odkryciem.

Więc wtedy podniósł się z krzesła i już był za drzwiami. Ale jeszcze na dole w hallu żuł półgłosem, przeżuwał ze złością to słowo: „Szczeniak”. I to było wszystko. Nie kłął, nie musiał. To słowo było daleko dosadniejsze niż przekleństwo, i myślał: „Po co on wrócił z Wielkopolski, gdzie miał jak u Pana Boga za piecem. Do czego on się tutaj pcha, szczeniak”, tylko że znowu wiedział, iż nie chodzi mu wcale o kuchynia (i że już nawet własne myśli mu kłamią), natomiast jedynie o Katarzynę, że to po nią przyjechał z Gleb, a potem coś się w nim nagle przełamało i postanowił, i był pewny, że zaraz ją stąd zabierze, żeby nie stało się coś, czego by później nie mógł odżalować, gdyż wciąż wierzył, że ma tę możliwość, tę moc zapobieżenia (było to przecież wczoraj przed południem, teraz jednak zdawało mu się, że całe lata temu); i powtarzając prawie ze głośno: „Szczeniak”, słysząc wściekłość i udręczenie w swym głosie, że ledwo go rozpoznawał, spostrzegł w amfiladzie otwartych na przestrzał drzwi prawego skrzydła pałacu starą panią Czerestwienską, babkę Piotra, jak siedziała pochylona przy sekretarce i coś pisała, drugą ręką ocierając chusteczką oczy z łez, i to dopiero zamknęło mu usta. Pomyślał: „Ona jest za stara. Za stara, żeby znieść nowy rodzinny skandal. Ona nie musi wcale wiedzieć, o co posądzam jej jedyne wnuka”, i równocześnie przestraszył się, że go zauważy, przywoła i on się nie wykręci, jeżeli ona naprawdę płacze. Bo jakakolwiek mogła być przyczyna tego płaczu, nie chciał (a nawet wiedział, że nie mógłby) skrzyżować swego wzroku z tym zim-

nym, jasnoniebieskim, przejrzystością przypominającym lżejszym spojrzeniem tej kobiety. Przynajmniej nie teraz. I nie mogąc wytłumaczyć sobie swego lęku, tknięty nagłym impulsem (w tej chwili oczywiście wiedział, że proroczym, ale przecież także już wtedy miał mgliste przecucie, że jest sprawcą wydostawania się na światło czegoś, co może pozostać winno w ciemności) pomyślał, że coś widać tutaj zaszło, coś takiego, co również dotyczyło rodziny Czerestwien-skich, i szybko ruszył do wyjścia. A potem był w parku i poczuł, jak w twarz smagnął go wiatr, który nawet za osłoną drzew wiał z siłą, i że bardzo jest nagrzanym. Szedł więc aleją przez ten wiatr, rozglądał się, pragnąc odszukać Katarzynę i od niej czym prędzej dowiedzieć się wszystkiego, skoro bowiem zaszło coś, co dotyczyło nie tylko jej, to ona mu to niewątpliwie powie (tak myślał), aż przypomniał sobie list, o którym, nawet mając go w kieszeni, nie chciał jeszcze niedawno pamiętać. I poprzedni nieokreślony lęk sprycyzował się nagle.

Ale byli już prawie w połowie powrotnej drogi do Gleb, minęli las, a dopiero wtedy Katarzyna mu powiedziała. Choć w pierwszym musiał zapytać, bo sama nie odezwała się przedtem ani razu. Ani kiedy zaszedłszy na opustoszały o tamtej porze folwark Czerestwien-skich, żeby się przekonać, czy zadbane o jego konie, zastał je na powrót zaprzężone, bratową zaś w koczobryku, jakby od dawna czekała na niego, siedzącą w tępych, niemym skupieniu z bezwładnie założonymi na kolanach dłońmi, których palce pełne odrębnego życia kurczyły się, to znów prostowały i znowu kurczyły, że zdanie, którym chciał wyrazić swe zdziwienie (bo przecież to on miał zamiar stąd ją zabrać, tymczasem ona go uprzedziła), zanim jeszcze był je wypowiedział, już samo wtłoczyło mu się na powrót do gardła i od razu siadł obok niej i ruszyli; ani podczas jazdy wzdłuż poprzerastanej sadami wsi i dalej rozjeżdżonym czupryńsko-nikoryckim gościńcem, kiedy musieli zmagać się z tą duszną, wysuszającą,

drobnozłocistą nawałnicą aż do samego lasu, gdzie dopiero od biedy można było odetchnąć, kiedy skręcili w przetarty chłopskimi furami dukt, po którego bokach skudłona gęstwina tonęła w cieniu i wilgoci, choć i tu w każdą wyrwę wdzierало się z góry oślepiające światło owego przedpołudnia, a gdzie spostrzegł był, że powieki Katarzyny ciężą ku dołowi wcale nie w rytm uderzeń smug światła, ale kierowane jakimś innym, wewnętrznym chyba rytmem, być może rytmem jej myśli, ze światłem natomiast nie ma to nic wspólnego; ani też nie odezwała się, gdy się wreszcie z lasu znowu wynurzyli na spopieliałą od suszy równinę, gdzie wściekle kłębił się wiatr, którego nie było jeszcze z rana; ani nie odezwała się później, mimo że połowę drogi mieli za sobą, z prawa bowiem, z Mohylnej Doliny wychynał samotny futor starego Poczajewa, z lewa za rybnymi stawami zaścianek rusiński Łoszakowskich, a potem prędko ukazały się postrzelane jak sito chaty parcelantów, bo tym razem prowadził konie drogą, jaką jeździło się zawsze, a nie skrótem, i jechali przecież dość długo, żeby odezwała się choć jednym drobnym słowem, że zaczął utwierdzać się w przekonaniu, iż coś, co pragnie zataić przed nim, jednak zaszło, nawet przyłapał się był na złośliwym przypuszczeniu: „Poróżniła się z Piotrem. Otóż to: ona ucieka po jakiejś swojej porażce”, i ledwo kryjąc opanowujące go zadowolenie, ale jeszcze niezbyt pewny, raczej nawet mniej pewny niż z początku (kiedy ujrzał ją w tym skupieniu czekającą nań na dziedzińcu folwarcznym), zapytał, zadał w końcu to pytanie, które tak dawno miał na ustach, a wówczas odpowiedziała trzema słowami: „Aleksy nie żyje”, nic więcej, bardzo wolno je wymawiając, z ociąganiem, zdziwiona jak gdyby samym ich brzmieniem, a może nie tyle zdziwiona, ile w krótkim porywie lęku (później zrozumiał, że lęk mógł być reakcją nie na fakt, że Aleksy, jej mąż, nie żyje, lecz na samo przeobleczenie się tego faktu w dźwięki), a on, Paweł, przypomniawszy sobie list, który wiozł, owo urzędowe za-

wiadomienie, nie uświadamiając sobie tylko zrazu, co powtarza, podobnie jak ona bezbarwnie, wolno powtórzył: „Aleksy nie żyje”, słysząc swój głos umykający w wichurze i po chwili, wciąż patrząc na jej bezwładnie leżące na kolanach dłonie, nie na twarz, właśnie na dłonie, jak palce o różanosinych paznokciach wyglądających niby płomyki gazowe kurczą się i zaciskają, „Mój Boże, mój ty Boże”, dodał silniej, jakby to, co od niej usłyszał, dopiero do niego dotarło, zmuszone wpiery pokonać jakąś wielką odległość i czas, a dopiero wtedy pojął wszystko naprawdę.

Właściwie jednak powinien był wiedzieć przedtem. Wiózł przecież list z nadrukiem Czerwonego Krzyża na kopercie, gnając na złamanie karku do Czupryni, gdzie od paru dni gościła u Czerestwienskich, cały czas nie myśląc o nim, nie chcąc, a potem nie znalazł w sobie dość odwagi, ażeby go osobiście jej doręczyć, więc może istotnie wiedział, wiedząc zaś, wołał chwilę, kiedy będzie musiał fakt śmierci brata przyjąć i uprzytomnić sobie konsekwencje tego faktu, tę chwilę, której oczekiwał przecież od dawna skrycie, dławiąc się wstydem, i której, oczekując, bał się, tę chwilę wołał odsunąć od siebie w czas przyszły, nieokreślony, bo wstyd i ból były dotychczas w nim silniejsze. Ale teraz wszystko stało się od razu jasne. Były to słowa Katarzyny. I jego własne słowa też. Potwierdzały. Powtarzał je wielokrotnie w myślach, prócz tego w głowie nie znajdując nic, podcinając bitem konie, żeby zmusić je do prędszego biegu i patrząc wciąż na ręce bratowej zaciśnięte na kolanach brązowych od słońca, obnażonych z sukni przez wiatr i pęd, i na palce, jeszcze naprężone, wpijające się paznokciami w skórę, ale znieruchomiałe. Potem spojrział jej w twarz. To było w tej sytuacji ohydne, aż nim wstrząsnęło, poczuł bowiem fizyczną bliskość kobiety i wydało mu się, że przywierają do siebie w namiętym uścisku (gdzieś z białego niby piana morska nieba runął strącony wiatrem czarny ptak), i: „On nie żyje, a ja przeżyłem”, przeleciało mu przez myśl, choć nie, nie

trzymali się nawet za ręce, ich ręce się tylko przypadkowo zetknęły i Katarzyna nie wiedziała o tym wcale, to on jedynie doznał krótkiego szoku pod wpływem prądu, jaki przeniknął mu przez skórę, docierając ostro aż w głąb serca. I zaraz: „Ona też żyje”, pojawiła się myśl następna. Tryumfująca, zwycięska, bo wciąż patrzył w jej twarz. I sformułowania jasne, logicznie złożone w zdania: „Zdawało się, że przywykła, że pogodziła się przez lata. Czyż teraz, po otrzymaniu urzędowego potwierdzenia, że wygrzebali go w Katyń, musi zmierzyć się z faktem tym na nowo? Może to dla niej tak, jakby haniebnego mordu na Aleksym dokonano po raz drugi?” I po chwili już nie czuł twardego napięcia nawałnicy. Ani gorącego powietrza, pełnego miálních drobiny wciskanych wiatrem we wszystkie pory skóry i w oczy, aż do łez, coś w nim raptem przycichło, więc następne zdania poczęły układać się w głowie jeszcze bardziej logicznie, bez poprzedniego trudu: „Nie chodziło mi o masakrę w Stoczku ani o bat'kę Gawryluka. Nie miałem nic Piotrowi do powiedzenia. Chodziło mi jedynie o tę kobietę. Żeby jej Piotr nie zdobył. Chodziło mi o to, żeby ją mieć dla siebie. A wciąż była jeszcze żoną brata. Lecz teraz jest naprawdę wolna. Cień Aleksego nie idzie więcej za nią. Teraz wreszcie mogę. Chcę”.

I zaraz przypomniał sobie pierwszą okupacyjną zimę w Krzyżtopolu. Jak bardzo potrzebowała jego opieki i jak od jego opieki była zależna. Te puste pokoje po Ormianach sobie przypomniał, gdzie ukrywali się podczas najgorszych wywózek. Jak bała się duchów pomordowanych i warkotu ciężarówek w opustoszałych ulicach, kiedy nocą uzbrojeni po zęby enkawudyści wygarniali ludzi z domów. I jak trzymała go za ręce wpatrzona w ciemność w napiętym oczekiwaniu, że to się wkrótce i z nimi stanie, też sobie przypomniał, a potem, jak rano z radości płakała na jego ramieniu, kiedy się nie stało. I wyciągając rękę, już świadomie dotykając jej dłoni, chciał to wszystko powiedzieć, na-

wet zdawało mu się, że mówi albo że dawno powiedział, lecz naprawdę syknął jedynie na konie, bo zauważył w oczach Katarzyny znajome, szczególne światło, które zawsze go przerażało i nakazywało milczeć, gdy powiedziec chciał więcej niż to, czego oczekiwała, światło zwrócone jak gdyby do środka czaszki (niby ponuro odpychający odbłask świec płonących u wezłowia zmarłych), i ogarnął go paniczny lęk, że jak kiedyś – kiedy wyrwawszy ją z rąk napastujących ją sowieckich żołnierzy, powiedział słowo, jakiego na pewno nie chciała usłyszeć wtedy – obróci się ono, owo światło jej oczu, na zewnątrz i padnie wprost na niego. Odezwał się dopiero, gdy zgasło: „Coś musimy zrobić ze zwłokami Aleksego. Nie powinny zostać tak daleko. W obcej ziemi”, wcale nie słysząc odpowiedzi kobiety, a jedynie własny szepet i jak rozmielił go od razu na pył stukot kół, rozgniótł głuchy tupot kopyt, a to, co z niego jeszcze pozostało, nędzną tę resztkę rozniosło wniwecz rozfalowane ciepłem południa powietrze. I myśląc, wiedząc, że Katarzyna myśli, iż on myśli: „Chciałem tego. Żeby to się wreszcie potwierdziło. Żeby Aleksy wreszcie umarł naprawdę”, powiedział, krzyknął: „Nie! Nie możemy go tam zostawić”. A wtedy dłoń, której dotykał, ona oderwała raptem od jego dłoni i ruchem krótkim, ale ostrym otarła o kraj sukni, i choć otarła tylko raz, kładąc zaraz z powrotem na kolanie, zanim dłoń jej znowu znieruchomiała, wykonywała jeszcze przez chwilę niekontrolowane świadomością konwulsyjne ruchy, jak gdyby chciała z siebie zrzucić, zwymiotować jego dotyk.

I natychmiast jej słowa, że Aleksy nie żyje, powróciły do niego w zupełnie innym znaczeniu. W związku ze wszystkim, co Katarzynę łączyło przez kilka miesięcy z jego bratem, kiedy byli ze sobą razem, a co w jego, Pawła, umyśle zdołało się w końcu zatrzeć czy nawet znikło bez śladu świadomie zamordowane, jak gdyby Aleksy nie istniał nigdy (jak być może w umyśle mordercy znikają bez śladu

charakterystyczne cechy ofiary, szczegóły jej życia, obraz twarzy, widok miejsca zajmowanego wśród żywych), ale że Aleksy istniał i ona wiedziała o tym najlepiej, jej słowa, owe trzy słowa powróciły do niego, jakby je powiedziała po raz wtóry. Mając jeszcze w oczach ten strząsający z siebie jego dotyk ruch jej ręki, pojął, że jakaś część świadomości tej kobiety z tamtego okresu, kiedy mąż jej żył, pozostała do dzisiaj nieporuszona. Pojął również, że jego ręka jest dla niej, jak gdyby nie było między nimi oboma, Aleksym i nim, żadnej różnicy, ręką tamtego, ręką trupa. Wtedy zapragnął znaleźć się jak najprędzej w domu. Sam. Ale dopiero gdzieś po kwadransie trawiaste zbocza urwały się, opadając w dolinę i na tle wzdętych wiatrem obłoków, za futorami braci Czartoriusów, zamajaczyły niepewnie, wśród szczytów drzew, kominy Gleb. I nagle poczuł, że Katarzyna drży. Mimo że nie dotykali się nawet ramionami. Jej ręce, jej kolana, na których przytrzymywała kurczowo dłońmi skraj sukni zdmuchiwanej przez wiatr, w ogóle cała była nieruchoma, a jednak to drżenie czuł cały czas wskroś roztrzęsionego podskakiwania koczobryku na wybojach, aż do miejsca, gdzie skończył się gwałtowny spadek, dolina zaś rozszerzała się lejąco i konie jak zwykle spłoszyły się, gdyż były tam zbiorowe mogiły z wiosennej pacyfikacji Żydów i późniejsze partyzantów. Tam wreszcie to drżenie ustało, jakby w niej zaszła jakaś nowa przemiana. Bo i ona patrzyła na wynurzające się spomiędzy zieleni Gleby. Więc pomyślał, iż ona myśli, że teraz nie jest to już dom jej męża, ale jego, Pawła, i zaraz posłyszał swój chropawy, chrypiący głos, jak z wysuszonego, pełnego kurzu gardła dobywa się z trudem, próbujący przedrzeć się przez łoskot kół, stukot kopyt, i przekonywający bratową, że: „Trwało to zbyt długo przestań ani małżeństwo ani wdowieństwo wiesz teraz co i jak oni zawsze mordowali jeńców to się ułoży jakoś przestań o śmierci Aleksego myśleć nie ma sensu wiedziałas od paru miesięcy jak przestań och przestań rozkopano te doły nad którymi ich

z całą pewnością wiedziałaś jaką śmiercią przestań nic się nie zmieni mamy jeszcze ten dom przestań” ale wkrótce pojął, że jego słowa, jeśli nie były tylko szeptem, w ogóle do niej nie docierają, zresztą podejrzewał, że nawet gdyby dotarły, nie usłyszałaby, tak była daleko. Jej szyja prężyła się, skroń pulsowała, usta zaś, dawniej wciąż pełne, wilgotne, były teraz rozchylone, suche, prawie bez koloru. Przyszło mu wtedy do głowy, że ona nie myśli o tym, co się stało. „Skoro wiedziała nie od dzisiaj, nie mogło to jej dzisiaj tak zaskoczyć. To nieprawda, że jest tak przejęta”, i na chwilę poczuł gniew. Ale jej palce znowu splotły się i rozplotły i ten jego gniew od razu wygasł.

Powściągnął ostro konie. W perspektywie alei ukazał się nieocieniony drzewami, zamazany, bez konturów, roztarty dokładnie w jaskrawym słońcu dwór. W nozdrza uderzył duszny zapach igliwia i kory. Od wyniosłych jodeł wystających ponad gęstwinię i od świerków poniósł się szeleszcząco-syczący szum, jednostajnym swym szeptem obejmujących ich oboje, a także zszarzały od kurzu koczobryk i spienione konie. Jednakże oddech kobiety, który Paweł usłyszał przed chwilą, był dużo głośniejszy niż ów szum. Zmrożony podejrzeniem, że to nie potwierdzenie śmierci Aleksego tak bratową przejęło, uprzytomnił sobie, że nigdy jeszcze, nawet w czterdziestym pierwszym roku, kiedy po ucieczce Rosjan powrócili tutaj, nie wydał mu się dom rodzinny aż tak nierealny, zamilkły i osamotniony. Wciąż powstrzymując rwać się do stajni konie wciągnął w płuca gorzki, cierpki zapach parku i zaraz, czując, jak nie może go więcej znieść, przytając w sobie ze wstrętem oddech, powiedział: „Najgorzej ze zwłokami. To bardzo daleko”. Ale świerki i jodły ustąpiły włoskim topolom po obu stronach alei, więc ten zapach się rozwił. Koczobryk wtoczył się ze chrzęstem na rozległe, wyżwirowane podejście do ganku, nad którym unosiła się tylko, jak zwykle, zgęszczona woń nagrzaných dachów, i Paweł mógł o tamtym przerażającym zapachu zapomnieć.

„Wreszcie Teodor Czerestwiński zaczął: »Czasem wydaje mi się, że rozumiem wszystko, czasem, że nic. Oczywiście, tobie zależy na tej ziemi w sensie jak najbardziej dosłownym, bo jej kawałek jest twoją rodzinną własnością od kilku wieków, i także w przenośnym, bo uważasz, że to twój kraj. Ukraińcy mówią, że to wyłącznie ich kraj i macie iść stąd precz. Ale na dobrą sprawę ty i tobie podobni nie jesteście nikim innym, jak Ukraińcami. Czy też Rusinami. W końcu to jedno i to samo. Nie o nazwę przecież chodzi. W którymś tam pokoleniu zmieniliście wyznanie, najczęściej zaś język, czasem i to, i tamto równocześnie, nie przestaliście jednak być Rusinami. Jesteście więc wy, mówiący po polsku – dawna szlachta czy chłopci, wszystko jedno – autentycznymi synami tej ziemi. Zatem o co nienawiść? O język? Też nie. (...) Nie język zatem ani narodowość rozgranicza. Myślałem dawniej, że nędza i bogactwo. (...) Więc i ten podział: nędza – bogactwo, niczego nie wyjaśnia. (...) Może przyczyna tego, co tu się dzieje, tkwi gdzie indziej? Może jak mozaika składa się z wielu elementów, których nie umiem poskładać?»”

Włodzimierz Odojewski (ur. 1930) – prozaik, eseista, dramaturg. W latach 1961-68 kierownik Studia Współczesnego Teatru Polskiego Radia. Od 1972 r. przebywa w Monachium. Był szefem działu kulturalno-literackiego Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa aż do jej zamknięcia. Opublikował m.in. powieści: *Wyspa ocalenia*, *Czas odwrócony*, *Oksana*, *Bez tchu*; tomy opowiadań: *Kwarantanna*, *Zmierzch świata*, *Zabezpieczenie śladów*, *Zapomniane, nieuśmierzone...*, *Jedźmy, wracajmy...*, *...i poniosły konie*. Jest laureatem wielu nagród, m.in.: Fundacji im. Kościelskich i Fundacji im. Alfreda Jurzykowskiego.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [e-booksweb.pl - audiobooki, e-booki](#).